



Krzysztof
Spadło

Skazaniec

Tom II

Krzysztof Spadło

Skazaniec

REDAKCJA:
Małgorzata Majewska

PROJEKT OKŁADKI:
Dariusz Herbowski

ZDJĘCIA:
Dariusz Herbowski

SKŁAD I ŁAMANIE:
Marzena Łopaciuk

ISBN:
978-83-65339-07-2

WYDAWCA:
SilverLemon

KONTAKT:
skazaniec@silverlemon.pl

Copyright © 2015 Krzysztof Spadło & SilverLemon

www.skazaniec.com
krzysztof.spadlo@skazaniec.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2015

[Kup książkę](#)

*Dariuszowi Herbowskiemu,
w podziękowaniu za wszystko,
co zrobił dla „Skazańca”*

tom II

Z bestią w sercu

Kiedy zamykałem za sobą drzwi stolarni, usłyszałem rdzawy jęk starych zawiasów. Ktoś mógłby je w końcu naoliwić. Sam nie wiem, dlaczego w tak makabrycznej chwili w mojej głowie pojawiła się ta zupełnie prozaiczna myśl. Przystanąłem na moment i grzbietem prawej dłoni przejechałem po plecach w okolicach krzyża. Pod połą więziennej bluzy kryła się bestia ziejąca śmiertelnościami ołowiu.

Październikowe słońce na ułamek sekundy zapłonęło w moich źrenicach.

Ruszyłem w kierunku wejścia na spacerniak.

Trzymaj się planu! – syknąłem w myślach.

Wzdłuż drucianej siatki sunęła kolumna skazańców. Wyglądali z daleka jak nurt szarej, gęstej mazi, która od czoła rozlewała się i przypominała ruchomą, rozrzedzoną plamę. Spacerniakowe bajory napełniały się po brzegi.

Na znak powrotu kiwnąłem głową w stronę Robalskiego i dołączyłem do pozostałych. Starąłem się zachować pozory normalności, ale wewnątrz mnie szalało prawdziwe piekło. Lufa pistoletu uwierała mój lewy pośladek. Szedłem wolnym krokiem i dyskretnie omiatałem wzrokiem cały spacerniak. Byłem myśliwym wypatrującym ofiary. Po prawej stronie, na stopniach placu apelowego dostrzegłem Ojczulka. Siedział zapięty przed siebie w tym samym miejscu co zawsze. Skręciłem w przeciwną stronę. Przez moment mignęła mi

twarz Romana. Mijałem grupki więźniów, a do moich uszu docierały strzępy rozmów.

Zatrzymałem się.

Niby od niechcenia biegałem oczami po twarzach, które miałem w polu widzenia. Kilka metrów dalej Suchy coś opowiadał, czarując słuchaczy wyszukanymi gestami. Jego ciało poruszało się w rytmie wypowiedzanych słów. Mówił nie tylko ustami, ale całym sobą.

Sięgnąłem po papierosa.

Ręce miałem śliskie od potu.

Wciągnąłem dym w płuca.

Pod czaszką jakiś koszmarny głos wykrzykiwał okrutne komendy. Zabij gnoja! Zrób to! Kula w łeb wyrówna wszystkie rachunki! Musi ponieść karę! To ścierwo, a nie człowiek! Zemścij się! Zabij! Emocje zaczęły przechylać szalę mojego samopoczucia na mroczną stronę. Wiedziałem tylko, że muszę trzymać na wodzy wzburzenie.

Tam jesteś, skurwielu!

Stał razem z kilkoma więźniami jakieś dwadzieścia metrów przede mną. Tuż obok niego wiercił się krępy Prezes w swojej cwanej czapce, zawadiacko naciągniętej na potylicę.

Cisnąłem na ziemię niedopałek.

Mój plan zakładał, że zajdę go od tyłu. Nie będzie żadnej zbędnej gadki, nawet nie musi wiedzieć, kto ciągnie za spust. Liczył się tylko rezultat.

Musisz być szybki. Podchodzisz, wyciągasz broń, przystawiasz mu do głowy i dokonujesz egzekucji! Załatwiasz sprawę jednym strzałem!

Zbliżałem się.

Wyobraźnia wyprzedzała bieg wydarzeń. W mojej duszy rozgrywała się scena, która dopiero miała nadejść. Dzieli nas metr. Moja prawa dłoń otula masywną rękojeść parabellum. Opuszek palca wskazującego opiera się delikatnie o jęzor spustu. Biorę głęboki oddech, ostatnie spojrzenie w błękitne niebo i błyskawicznym ruchem wyciągam spluwę.

Prostuję rękę.

Otwór lufy prawie dotyka jego głowy.

Nie zauważam innych twarzy dookoła, widzę tylko kawałek zabójczego metalu i czaszkę ofiary.

Refleks naoliwionej stali błyska wąskim, ponurym uśmiechem.

Strzał!

Głowa Hrabiego nienaturalnie odskakuje do przodu. Po cisk z morderczym impetem rozłupuje potylicę, wdzierając się do środka i drąży tunel o idealnej średnicy w miększym kremowym mózgu. Ostatnią barykadę wzniesioną z kości czołowej niszczycielski intruz roztrzaskuje na strzępy. Nie widzę tego, ale mam nadzieję, że pośrodku twarzy, tuż nad nosem, zostawia za sobą dziurę wielkości oczodołu. I teraz najtrudniejszy moment. Nie mogę się zawahać nawet na sekundę, bo od tego zależy, czy ujdę z życiem. Kiedy rozlegnie się wystrzał, wszyscy skazani padną na ziemię. Nie może mnie wtedy zahipnotyzować żaden makabryczny widok. Muszę zachować się tak samo jak pozostali. W przeciwnym razie skończę z kulą w sercu.

Tak właśnie miał wyglądać scenariusz tego zdarzenia.

Podchodziłem do Hrabiego od tyłu.

Byłem coraz bliżej.

Dłoń na kolbie lugera.

Dylematy w głowie i w duszy.

Nagle pojawiło się wielkie zwątpienie.

Sparaliżowało mnie jakieś parszywe uczucie. To nie był strach, ale coś zgoła innego. Nawet teraz nie potrafię tego nazwać.

Spoglądałem na plecy człowieka, którego miałem zgładzić w imię zasad, w imię zemsty i własnego odkupienia. Palce dłoni idealnie przywierały do stalowej rękojeści, ale nie byłem w stanie wydobyć broni! Każdy mięsień mojego ciała zamarł w kamiennym bezruchu. Przyspieszone bicie serca tłoczyło w żyłach gęstą krew. Skronie rozsadzało bolesne

dudnienie pulsu, przypominające swym dźwiękiem złowieszcze rytmy wojennych bębnow. Zrób to, kurwa mać! Ponownie czyjs jazgotliwy głos wściekle krzyknął pod czaszką. W jednej sekundzie zamieniłem się w żywą bombę wypełnioną ładunkiem wzburzenia, determinacji i bezwzględnej stanowczości. Pojedyncze obrazy wspomnień pojawiały się w myślach niczym błyskawice rozdzierające toń ciemnego nieba. Twarz mojej matki, uśmiech Hrabiego, fajki, złoto, pieniądze, perfidne kłamstwa i... nadzieja zarżnięta jak wieprz na uboju.

Giń, kanalio! Przeląła się czara goryczy.

Świat przestał istnieć. Byłem tylko ja, posłannik śmierci, i ten, który miał wpaść w jej ramiona. Przypływ niesamowitej energii, graniczącej z euforią, detonował w każdym zakamarku mojego ciała. Ogarnął mnie niepohamowany zwierzęcy instynkt zabijania. Prawa dłoń zdwoiła swój zacisk i kiedy chciałem wyszarpać spluwę zza paska spodni, nagle ktoś chwycił mnie mocno za łokieć.

– Nie dziś i nie tutaj! – syknął mi prosto do ucha Ojczulek. – Jeżeli to zrobisz, zginiemy obaj! – W tym samym momencie jego druga dłoń wślizgnęła się pod moją więzienną bluzę i zdecydowanym ruchem wyszarpał mi pistolet.

Cud, że broń nie wypaliła.

Nie wiem, skąd u tego wiekowego mężczyzny było tyle zdecydowania i siły.

Jeżeli ktoś patrzył w naszą stronę, widział dwóch kolesi, których sylwetki ocierały się o siebie. Mógł pomyśleć, że doszło do przepychanki.

Kompletnie zaskoczony spoglądałem na twarz staruszka.

– Kiedy wiosną zeszłego roku powiedziałeś, że przydałoby się parabellum z pełnym magazynkiem – nadal szeptał – zrozumiałem, że wiesz o tej broni.

Oniemiałem. Od dawna znał moją tajemnicę.

– Siemasz, ziomek! Jak leci? – Do naszych uszu dotarły słowa człowieka, który w tej chwili powinien być już trupem.

Trudno mi powiedzieć, co wówczas można było wyczytać

z mojej twarzy. Wiem tylko, że przez dłuższą chwilę milczałem i spoglądałem mu prosto w oczy. Ten cwaniak nie był idiotą i w mig pojął, że sprawa się rypła.

– Zwrócisz mi wszystko, i to z sowitą nawiązką! – cisnąłem wściekle przez zaciśnięte zęby.

Natychmiast zmienił się wyraz jego twarzy.

– Tak sądzisz? – powiedział z nonszalancją i podszedł bliżej. – Co zrobisz? Zabijesz mnie, głupolu? Poskarżysz się naczelnikowi? – drwił. Nie odpowiedziałem na jego pytania. – Tak już bywa, albo zjesz sam, albo zostaniesz zjedzony – stwierdził agresywnie głosem zwycięzcy. – I żebym cię więcej nie widział w pobliżu. – Pchnął dłońmi moje barki.

Prezes doskoczył w naszym kierunku.

– Co się dzieje? – wtrącił. – Jakiś problem? – Najpierw spojrzał na twarz swojego kompana, a później na mnie.

– Nic szczególnego. Drobnostka, z którą sam sobie poradzę. – Hrabia dźgnął wzrokiem moje żrenice. – A teraz spierdalajcie stąd. I to już! – warknął rozkazująco.

Poczułem, jak Ojczulek ciągnie mnie za ramię.

– Zapłacisz mi za wszystko – odpowiedziałem z nieukrywana nienawiścią. – Za wszystko!

– Nie podskakuj, chłopaczku, bo jeszcze u mnie masz dług do wyrównania – wtrąciła persona o płaskim nosie. Nie ulegało wątpliwości, że brał stronę swojego kamrata. – Góral odszedł i zostaliśmy tylko my dwaj. Pamiętaj o tym! Mamy sporo do obgadania.

Ojczulek energicznym ruchem pociągnął mnie za sobą.

– Oddaj ten cholerny pistolet! – naskoczyłem na starego księdza, kiedy byliśmy w połowie spacerniaka.

– Dostaniesz, ale nie dziś – odparł krótko. – Zwrócę ci broń, a ty odłóżysz ją tam, skąd wzięłeś.

– Przestań chrzanić! Nic nie rozumiesz...

– To mi wyjaśnij – wtrącił. – Myślisz, że będę patrzył, jak podpisujesz na siebie wyrok? Przez tego śmiecia? Nie bądź

głupi. Naprawdę chcesz zginać przez tę łajzę? Aż tak bardzo gardzisz swoim życiem? – Zamilkł. – Opowiesz mi, co się stało?

Siedzieliśmy na stopniach okalających plac apelowy. Spoglądałem w niebo nad więziennym murem, a z moich ust wylewał się potok słów.

Wyznałem mu wszystko.

– I co? Sądzisz, że zemsta przyniesie ci ukojenie? – Nie było to pytanie z rodzaju „no przecież wiesz, że nie masz racji”. Wydawało mi się, że on naprawdę chciał poznać moją odpowiedź. – Zastanów się dobrze, bo cokolwiek się stanie, później będziesz musiał z tym żyć. Nie będę ci niczego odradzał, czy też doradzał, zrobisz to, co uznasz za stosowne. Powiem ci tylko jedno, gdybym mógł cofnąć czas – westchnął – gdybym tylko mógł cofnąć ten przegrany czas... nie popełniłbym tego błędu – dokończył łamiącym się głosem.

– Jakiego błędu?

– Wiesz, co bardzo dawno temu rzekł pewien chiński mędrzec? – Zawiesił głos. – Kto szuka zemsty, powinien kopać dwa groby. Rozumiesz? – Spojrzał mi w oczy. – Ja sobie wykopałem ten grób – omiótł wzrokiem więzienne budynki i mury – a potem zrozumiałem, że nie było warto. Ale było już za późno, żeby to cofnąć. I żyję z tą świadomością od bardzo wielu lat. I możesz mi wierzyć na słowo, że nie doznałem ukojenia. Życie bywa pełne niespodzianek, trudno przewidzieć, jaka przyszłość nas czeka i co może się zdarzyć. A jeśli któregoś dnia obejmie cię amnestia i znowu będziesz wolnym człowiekiem? Chyba warto zaryzykować, zamiast popełnić czyn brzemienny w skutkach. Podzielał twoją opinię, że rachunki powinny zostać wyrównane, ale jeśli przy okazji sam miałbyś zginać... – znowu zrobił pauzę – to przegrasz.

– Oddaj mi pistolet – upierałem się.

– Nie dziś, przyjacielu – skwitował. – Dziś dam ci coś innego – powiedział i podał mi kwadratową paczuszkę zawiniętą w szary papier. – Wszystkiego najlepszego z okazji

ćwierćwiecza na ziemskim padole. – Uśmiechnął się dobrodusznie.

Huśtawka emocji wznosiła się ku niebu, aby w następnej chwili z impetem opaść na samo dno piekła. Czułem się tak, jakby cały świat żonglował moimi uczuciami.

Powoli rozdarłem papier. Moim oczom ukazała się mośięzna papierośnica z wygrawerowaną datą i inicjałami: 17.10.1925 r. S.Ż.

Solidna rzecz.

Ową papierośnicę mam do dzisiaj i jeśli się dobrze przyrzyć wieczku, da się jeszcze odczytać napis.

Każdemu z was zdarzyło się podjąć w życiu złą decyzję. Być może nie było wtedy obok kogoś, kto ostudziłby wasze zamiary. Ja miałem to szczęście, że czuwał nade mną Ojczulek.

Chyba zawsze lubilem rozmyślać o tym, co by było gdyby...? Wyszukuję w pamięci przeróżne chwile i zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym w jakimś konkretnym momencie postąpił inaczej, niż to zrobiłem w przeszłości. Wszyscy codziennie stajemy na rozdrożach naszych wyborów, każda sytuacja, z jaką mamy do czynienia, wykuwa nasz los i otwiera konkretne wrota do przyszłości. Do przyszłości zarówno naszej, jaki i tych ludzi, których rzeczywistość przeplata się z naszym losem.

Kto wie co stałoby się ze mną później w celi numer sześćdziesiąt siedem, gdyby Ojczulek oddał mi broń. Mogę jedynie przypuszczać, że użyłbym jej w nocy i skończył ze sobą.

Prawdopodobnie właśnie tak wyglądałaby alternatywna wersja mojego istnienia, a raczej jego końca.

Księżulek był mądrym człowiekiem, rozumiał ludzką naturę, był przewidujący i potrafił wybiec myślą w przód. Oddał mi lugera dopiero następnego dnia. Swoją drogą, szalenie ryzykował, wnosząc ze sobą na blok kilogram zabójczej stali.

Dużo rozmyślałem o moim desperackim zachowaniu. Kilka dni bez wychodzenia na spaceriak zdecydowanie ostudziło moje zabójcze zamiary i utwierdziło w przekonaniu, że muszę się zemścić w inny sposób. Bardziej podły i wyrachowany. Zrozumiałem, że błyskawiczna śmierć Hrabiego byłaby dla niego niczym przysługa. A ja przecież byłem żądny czegoś zupełnie innego! Chciałem gehenny. Chciałem, żeby jego życie zamieniło się w koszmar, żeby poniósł zasłużoną karę, żebym mógł się karmić jego upadkiem i cierpieniem. Pragnąłem poczuć zwyrodniałą satysfakcję i sycić się okrutnym odwetem.

Właśnie taki cel sobie obrałem.

Począwszy od moich dwudziestych piątych urodzin, nie potrafiłem uwolnić się od tych wszystkich makabrycznych myśli. Każdej minuty, każdego dnia knułem i szukałem sposobu, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Czas naglił, bo Hrabia miał zakończyć odsiadkę pod koniec drugiego kwartału 1926 roku. Nie znałem dokładnej daty, ale dotarło do moich uszu, że ponownie zostanie wolnym człowiekiem na przełomie maja i czerwca. I wiecie, czego wtedy najbardziej pragnąłem? Tego, żeby te ostatnie miesiące w więzieniu we Wronkach przeistoczyły się dla niego w piekielny koszmar. Chciałem, żeby doświadczył najgorszego bólu, żeby cierpiał i żeby poznał, czym jest prawdziwa podłość. Pragnąłem tego tak bardzo, że bezustannie i gorliwie modliłem się, aby moje życzenie się ziściło. Byłem w stanie ponieść każdą ofiarę, żeby osiągnąć cel. Jeśli mógłbym zaprzedać duszę, tak jak to zrobił doktor Faust, a potem rzec: „trwaj chwilo, jesteś piękna”, zrobiłbym to na pewno.

Każdego wieczoru spoglądałem przez kraty i miałem ochotę wrzeszczeć na całe gardło. Czasami chwytałem dłońmi zimne pręty i siłowałem się z nimi, jakbym chciał wyszarpać stal zakotwioną w murach. Najgorzej jednak było wówczas, kiedy na dworze zapadał zmierzch. Ciemność sprawiała, że

moje demony pastwiły się nade mną, zyskując nowe, okrutne oblicze.

Zacząłem mieć poważne problemy ze snem. Były takie noce, kiedy miałem wrażenie, że nie zmrużyłem oka. Zupełnie jakbym trwał uwięziony na pograniczu jawy i snu.

W pierwszą listopadową noc byłem przekonany, że widzę w poświacie księżycy mglistą postać siedzącą w rogu celi. Natychmiast przypomniały mi się wszystkie niesamowite opowieści o więziennych zmorach. Teraz doświadczałem tego na własnej skórze. Kiedy człowiek jest przemęczony, wyobrażenia potrafi sięgnąć głęboko w duszę, zaczerpnąć z najmroczniejszych lęków i nadać im przerażający kształt. Zobaczyłem chude, kościste ciało, które miejscami wystawało spod postrzępionych szmat. Strąki długich, rzadkich włosów opadały niechlujnie na spowite cieniem nieludzkie oblicze. Twarz była pociągła, a dolna szczeka nienaturalnie wysunięta do przodu. Mój wzrok przykuł malujący się na podrapanych ścianach cień zmory, który skojarzył mi się z końskim łbem. Końska, zdążyło mi jeszcze przebiec przez myśl i zaraz potem przerażony cofnąłem się w kąt. Zamknąłem oczy i skrzyżowałem ręce na piersiach.

Tak ją ochrzciłem. Moja zmora otrzymała imię Końska.

To nie pomoże, w myślach usłyszałem ochryply głos starej kobiety. Na dźwięk tych słów moje serce uderzyło dwa razy szybciej. To nie pomoże, rozległa się ta sama kwestia, ale brzmiała już głośniejsz. To nie pomoże, słowa przechodziły w krzyk.

Dłońmi przysłoniłem uszy z taką siłą, jakbym chciał je zmiażdżyć.

Zacisnąłem powieki.

W głowie zapanował jednostajny szum.

Aby nie oszaleć, w duchu zacząłem powtarzać alfabet. W ten sposób dotrwałem do bladego świtu.

– Wyglądasz, jak kasek ścierwa przepuszczony przez magiel – skwitował Suchy podczas śniadania, patrząc na moją zmęczoną, napuchniętą twarz i podkrążone oczy.

– Miałem ciężką noc – odparłem.

– Czyżby nawiedziła cię zmora? – zapytał. – Siadała ci okrakiem na piersi i nie pozwoliła dychać? Fajna chociaż była? – Mrugnął do mnie, a ja wcale nie byłem zaskoczony, że Suchy podłapał temat i zaczynał się rozkręcać. – Nie miałbym nic przeciwko, żeby jakaś okrągłutka i z fajnymi cycuszkami...

Nie miałem ochoty słuchać tych bzdur.

Nie chciałem patrzeć na ich twarze.

Nie potrzebowałem żadnych rad, nie oczekiwałem słów współczucia i nie miałem zamiaru odpowiadać na żadne dociekliwe pytania.

Dni wlokły się monotennie, a moje bezbarwne życie idealnie wkomponowywało się w więzienną codzienność. Na zewnątrz królowała dżdżysta jesień. Tak wyglądał mój czyściec.

Te same zajęcia i obowiązki, ten sam rozkład dnia, te same twarze wokół mnie.

Rutyna.

W duszy natomiast nosiłem piekielną pożogę wściekłości, a w głowie bezustannie krążyły te same myśli i chorobliwa chęć odwetu.

Już jakiś czas temu przyszło mi do głowy, że jest ktoś, kto mógłby mi pomóc wyrównać rachunki. Na moich kumpli nie mogłem liczyć, bo oni tutaj nic nie znaczyli. Oczywiście każdy z nich potrafił załatwić jakąś duperele, ale sprawa z Hrabią była poza ich możliwościami.

Wiedziałem, że ten pomysł nie jest dobry, ale sytuacja, w której się znalazłem, nie dawała mi innego wyboru. Nie byłem też pewien, czy Czarny zechce się podjąć zadania. Z drugiej strony, jeśli to zrobi, to czego zażąda w zamian?

Wiedziałem, kim był, za co siedział i co on i jego ludzie znaczyli w tym więzieniu. Każdy, kto był przy zdrowych zmysłach, nie wchodził im w paradę.

W belce pod sufitem nadal spoczywało metalowe pudełko, a w nim pięć obrączek i dostoyny sygnet. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że złoty kruszec będzie idealną kartą przetargową. Problem w tym, że nie bardzo wiedziałem, czego chcę w zamian?

W pierwszą niedzielę listopada podjąłem poważną decyzję i zagadałem do Czarnego. Opowiedziałem mu całą historię. Przemilczałem jedynie informację o znalezisku. Mówiłem o tym, jak płaciłem fajkami za listy i wieści z drugiej strony, o tym, że oprócz tytoniu dałem jeszcze Duszańskiemu dwie złote obrączki i dziewięćdziesiąt polskich złotych w gotówce. Nie potrafiłem powstrzymać drżenia głosu, kiedy wspominałem, że moja matka już nie żyła, a on nadal mnie kołował.

Czarny cierpliwie słuchał mojej spowiedzi.

Kiedy skończyłem, charakterystycznym ochrypłym głosem powiedział:

– Zastanawiają mnie dwie sprawy. Po pierwsze, dlaczego byłeś takim naiwniakiem, a po drugie, skąd wzięłeś złoto i forszę w tym podłym pierdlu? Chociaż to nie moja sprawa – zarzekł się natychmiast. – Tylko się zastanawiam. Tak myślę sobie, że chyba powinniśmy nawiązać bliższą współpracę. Ma się rozumieć dla osiągnięcia wspólnych korzyści. – Uśmiechnął się w taki sposób, jakby chciał powiedzieć, że niezmiernie się cieszy z naszego spotkania i tak miłej rozmowy. – Wracając jednak do twojej sprawy – zupełnie zmienił barwę głosu – swojego czasu wyświadczyłeś mi przysługę, pamiętam o tym doskonale. Jesteśmy kwita, bo otrzymałeś zapłatę. Czuję się jednak zobowiązany. Rozumiem, że szukasz pomsty, ale chciałbyś również odbić poniesione straty. Zgadza się?

– Strzał w dziesiątkę – odparłem.

– A co masz do zaoferowania w zamian?

Sięgnąłem do kieszeni spodni i wyjąłem duży sygnet z rytym w oczku herbem. Bez słowa podałem mu przedmiot.

Na twarzy Czarnego zagościł wyraz podziwu. Nałożył pierścień na serdeczny palec lewej ręki i przyjrzał się mu z nieukrywanym namaszczeniem.

– Skąd wziąłeś to чудо? – zapytał zaintrygowany, a w jego oczach pojawiły się ogniki. – Masz tego więcej?

– Po prostu mam – odparłem. – To jak będzie? Dobijemy targu? – zmieniłem temat.

– Już go dobiliśmy. – Uśmiechnął się i schował przedmiot do kieszeni. – Pomogę ci. Odzyskasz wszystko, co straciłeś. Oczywiście złoto i pieniądze, z których wycykał cię Hrabia, przeliczymy odpowiednio na szlugi. Daj mi tydzień, muszę rozeznąć się w kilku sprawach, a potem powiem ci co i jak. Pasuje? – zapytał i natychmiast wystawił dłoń na znak przypieczętowania naszego paktu.

– Pasuje. – Wymieniliśmy uścisk.

Odniosłem wrażenie, że jak na człowieka, który parł się zbrojecką profesją, wysławiał się w dość szczególny, a zarazem dystygowany sposób.

Nie pomyślałem wtedy, że ten uścisk dłoni tak bardzo zmieni moje dalsze życie.

Siedem dni później ponownie spotkałem się z Czarnym. Rozmawialiśmy w cztery oczy.

– Jutro przed południem zjawisz się w pralni. – Chyba dostrzegł zaskoczenie na mojej twarzy, bo zaraz szybko dodał: – Nic się nie martw, przyjdzie po ciebie dozorca, już moja w tym głowa. Spotkamy się tam we czwórkę ty, ja, Walet i oczywiście osoba, która od teraz jest naszym wspólnym problemem. Dwa dni temu przeprowadziliśmy z nim pierwszą rozmowę. – Zamilkł na chwilę. – Jak go spotkasz na spacerunku, przekonasz się, że mieliśmy widzenie. Ale wydaje mi się, że musimy mu przedstawić kilka mocniejszych argumentów. Dlatego

uważam, że powinienś uczestniczyć w tym spotkaniu. Mam nadzieję, że nasza znajomość będzie bardzo owocna. Widzimy się jutro, przyjacielu – pożegnał się, dając mi tym samym do zrozumienia, że audiencja dobiegła końca.

Wolnym krokiem ruszyłem przed siebie. W pewnym momencie dostrzegłem Hrabiego, który stał obok ogrodzenia i rozmawiał z jakimś typem. Jego lewe oko wyglądało jak duży, fioletowy krążek. Na ten widok uśmiechnąłem się w myślach. Dobrze. Bardzo dobrze, szepnąłem w duchu. A więc sprawy zaczynają przybierać właściwy obrót. Czułem zadowolenie, byłem poniekąd usatysfakcjonowany. Skręciłem w prawo i zmierzałem w kierunku placu apelowego, na którym dostrzegłem drepczącego w miejscu Ojczulka.

– Szukasz sprzymierzeńca? – zapytał księżulek. Odniosłem wrażenie, że w tonie jego głosu zabrzmiał wyrzut. – Chcesz sobie napytać biedy? – Nic nie odpowiedziałem. Sięgnąłem po papierosa. – Po co się kręcisz obok tego towarzystwa? – Najwyraźniej miał na myśli Czarnego i jego ekipę. – Stefan, to nie jest dobry pomysł, to nie są ludzie, z którymi powinienś się zadawać.

– Ja wcale się z nimi nie zadaję – odparłem. – To tylko zwykły interes.

– Taki to będzie interes, że nigdy się z niego nie wypłaczesz. – Wyciągnął przed siebie palec wskazujący, jakby mnie ostrzegał. – Dobrze ci radzę, odpuść sobie.

Możesz sobie radzić, ile wlezie, odpowiedziałem mu w myślach.

I nagle sam się zdziwiłem, jak gładko wypowiedziałem coś naprawdę uszczypliwego:

– Powiadają, że dobrymi radami są wybrukowane drogi w piekle.

Księżulek spojrzał na mnie zdumionym wzrokiem.

– Zaczynasz się zachowywać tak, jakbyś dopiero wczoraj trafił do więzienia – mówił głosem, jakiego wcześniej nie miałem okazji usłyszeć. – Przeszłości nie da się zmienić.

Domyślam się, którą sprawę chcesz załatwić. Powtarzam ci, to nie jest dobry pomysł. Nie brnij w to, bo będziesz żałował. Wspomnisz jeszcze moje słowa.

Ostrzeżenia Ojczulka nie miały żadnego znaczenia, sprawy nabrały biegu.

Tego właśnie chciałem.

Tak miało być.

Kiedy przed południem w drzwiach stolarni pojawił się klawisz, wszystko stało się jasne.

– Bierz narzędzia – rzucił w moją stronę. – W pralni trzeba naprawić regał. Natychmiast!

– Tak jest, panie dozorca – odpowiedziałem w regulaminowy sposób. Zabrałem potrzebne rzeczy i ruszyłem w stronę wyjścia.

Wydawało mi się, że przemarsz do pralni nigdy się nie skończy. Moją głowę bombardowały tysiące myśli, a serce przepełniały na zmianę podniecenie i gorzka nienawiść. Czuję się tak, jakbym niósł w sobie wojnę, a w mojej duszy toczyły się krwawe bitwy, w których ginęli wysłannicy nieba i piekła. Sumienie? Sumienie uciekło, a ja – nie wiem dlaczego – dziękowałem teraz temu, który wysłuchał moich modłów. I nie mam pojęcia, kto miał w tym większy udział, Bóg czy szatan, ale jeden z nich wiódł mnie za rękę na spotkanie z przyszłością.

Pomieszczenia pralni znajdowały się tuż obok więziennego dziedzińca. Weszliśmy do środka. Tutaj temperatura była zdecydowanie wyższa niż na zewnątrz. Nozdrza zatykał mdły zapach rozwodnionego chloru i świeżego krochmalu. Ponad naszymi głowami swobodnie dryfowały olbrzymie języki pary wodnej, które nawet przy najmniejszym ruchu powietrza wirowały i kłębiły się, przybierając fantazyjne formy.

Większość pracujących skazańców była rozebrana od pasa w górę. Ich ciała połyskiwały śliskim, wilgotnym blaskiem.

Wrząca woda bulgotała w kadziach, a paleniska pod kotłami zionęły gorącym żywiołem. Lamperie ścian i szyby w oknach były zroszone kropelkami wody. Całe pomieszczenie odbijało się w mokrej posadzce niczym w potężnej lustrzanej tafli.

– Walet! – krzyknął dozorca.

Nie było jednak żadnej odpowiedzi.

– Walet! – powtórzył, a w jego głosie brzmiało zniecierpliwienie.

Po chwili znajoma twarz wyłoniła się zza rogu korytarza po prawej.

– Tutaj jestem – odpowiedział i kiwnął głową w naszą stronę.

– Idź za tym więźniem – zwrócił się do mnie strażnik. Następnie spojrzał na mojego przewodnika i dodał władczym tonem: – Żeby mi tam nie było żadnego cyrku! – Obrócił się na pięcie i odszedł.

Walet otworzył na oścież szerokie drzwi obite arkuszem ołowianej blachy. Wzdłuż szarych ścian stały puste, nieco zdezelowane regały sięgające sufitu. Przez nieduże okratowane okno wpadało światło dnia. Pośrodku pomieszczenia siedział na taborecie związany i panicznie przerażony Hrabia. Miałem wrażenie, że gdyby nie knebel w ustach wrzeszczałby na całe gardło ze strachu.

Czarny stał oparty o ścianę po lewej i palił papierosa. Nie odczwał się do mnie, skinął jedynie głową na powitanie. Kiedy Walet zamknął za nami drzwi, jego kompan podszedł do Hrabiego i przykucnął, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Napytałeś sobie biedy, frajerze! – Czarny cedził słowa i jednocześnie poklepywał otwartą dłońią policzek Hrabiego. W tym samym czasie Walet złożył na pół prześcieradło i skręcał je w dziwny sposób. Hrabia strzelał wzrokiem na każdego z nas. – Patrz na mnie, jak do ciebie mówię – warknął Czarny i w tej samej chwili rozległ się siarczasty plask otwartej dłoni uderzającej o policzek.

Wzdrygnąłem się.

Raczej nie spodziewałem się takiego rozwoju sprawy.

Właściwie to nie wiem, czego oczekiwałem.

Na jednym z końców splecionego prześcieradła Walet zaciął pokaźny węzeł i kilka razy zakręcił w powietrzu młynka. Nietrudno było się domyślić, kto i czym za chwilę zostanie wychłostany.

– Bardzo oszukałeś mojego przyjaciela. – Czarny wypowiedział słowa bez pośpiechu, jednocześnie palił papierosa i za każdym razem, kiedy wypuszczał dym, dmuchał nim prosto w twarz swojej ofiary. – Musimy coś z tym zrobić... – Zamilkł w pół zdania, przekrzywił głowę w prawo i zrobił taki grymas, jakby od człowieka z kneblem w ustach oczekiwał odpowiedzi. – Zgodzisz się ze mną, prawda?

Hrabia pokiwał głową.

Chyba nie potrafił zapanować nad swoimi odruchami, bo łypnął wzrokiem w moją stronę. Czarny natychmiast wymierzył mu kolejny policzek.

– Jesteś jakiś głupi!? Co ci powiedziałem!? Kiedy mówię do ciebie, masz patrzeć na mnie! – warknął. W tym samym czasie Walet skręcał w identyczny sposób drugie prześcieradło. – Zostało ci jeszcze do odsiadki sześć długich miesięcy. Ja i ty, my, we dwójkę, razem – mówił tak, jakby wyliczał – postaramy się, żebyś w tym czasie zwrócił dług Ropuchowi. Ma się rozumieć z odpowiednim procentem – dodał szybko. – Jeśli będziesz grzeczny i posłuszny, to nikt inny na tym nie ucierpi, rozumiesz? – Nie wiem, czy Hrabia rozumiał, ale wiem, że na pewno się bał. Walet, trzymając w dłoni dwa skręcone prześcieradła, ruszył w drugi kąt pomieszczenia, w którym stało wiadro, i zamoczył w wodzie końcówki z supełami. Rozległ się kolejny, mocny klaps w policzek. – Słuchaj teraz uważnie, co ci powiem. Wiesz, kim jestem, prawda? – Hrabia odpowiedział skinieniem. – Należysz teraz do mnie, będziesz dla mnie pracował. Zostaniesz dziwką. Kapujesz? Każdy, kto będzie mógł za to zapłacić, będzie cię w tym

puddle rżnąć na wszelkie możliwe sposoby. Jeżeli zaczniesz coś kombinować, jeżeli wpadniesz na pomysł, żeby się okaleczyć i zwać na izbę chorych, jeżeli zrobisz cokolwiek, co zburzy plan spłaty twojego długu, wciągnę w twoje problemy wszystkich, z którymi cię coś łączy. Moi funfle po drugiej stronie murów zrobią z twojej kobiety tanią kurwę, odnajdą twoją rodzinę, dzieci, matkę, ojca, braci, siostry, kuzynostwo i zamienią im życie w gnój, dopóki straty Ropucha nie zostaną wyrównane. – Wskazał głową w moim kierunku. – No i nie będę ukrywał – uśmiechnął się od ucha do ucha – skoro teraz jestem pośrednikiem, też muszę swoje zarobić. – W oczach Hrabiego pojawiła się trwoga. A ja czułem się chyba podobnie jak ofiara.

Byłem przerażony.

Przez chwilę słyszałem jedynie swój oddech i kapanie kropli ociekających z supełów, które uderzały o taflę wody w wiadrze. W mojej głowie wszystko zaczęło się walić. Nie przypuszczałem, że sprawa będzie załatwiana w taki sposób.

Walet podszedł do Czarnego i podał mu jedno ze splecionych prześcieradeł. Obaj zaczęli nimi kręcić, a siła odśrodkowa wyrzucała na zewnątrz wodę, którą wcześniej nasiąknął materiał. W mgnieniu oka na ścianach, podłodze i suficie pojawiły się wilgotne ścieżki, znacząc orbitę wirujących węzłów. Mężczyźni wyglądali jak złowieszcze widma. Patrząc na nich, czułem lodowate opłłki wbijające się w skórę pleców.

– Zrozumiałeś, jaki jest nasz układ? – Czarny rzucił pytanie w stronę Hrabiego, który bezustannie przytakiwał głową i jednocześnie cały drżał z przerażenia.

Ciosy zaczęły padać rytmiczne.

Bili na przemian.

Za każdym razem, kiedy mokry węzeł prześcieradła uderzał w ludzkie ciało, najpierw rozlegał się stłumiony dźwięk, a zaraz potem gardłowy jęk pełen okropnego bólu. Krtań Hrabiego przeżyła się pod skórą. Wydawało się, że napięte ścięgna szyjne i pulsujące, grube jak paluchy, tętnice balansują na

pograniczu wytrzymałości. Hrabia sapał i nerwowo wciągał przez nozdrza powietrze. Byłem przekonany, że jedyne, czego pragnie, to uwolnić swój dziki krzyk, który ginął w zwojach szmacianego knebla.

Nie przestawali bić.

Stałem bez ruchu i ze wszystkich sił koncentrowałem się na tym, żeby mój wzrok był pełen obojętności. Miałem ochotę zamknąć oczy i zatkać uszy, żeby nie widzieć i nie słyszeć tego, co się tutaj działo. Nie przypuszczałem, że to będzie aż tak trudne. Chwilami wydawało mi się, że źrenice Hrabiego posyłają mi błagalne spojrzenia. Niech cierpi! – ochrypli głos Końskiej wydierał się w mojej głowie. Momentami w moim sercu rodziła się litość, ale ginęła, nim rozkwitły pąki współczucia.

Nagle podszedł do mnie Czarny.

– Trzymaj, ulżyj sobie. – Podał mi splecione prześcieradło. Chyba zobaczył w moich oczach panikę, bo trącił mnie lekko w pierś i powtórzył rozkazującym tonem: – Bierz!

To wszystko zabrnęło za daleko. Przecież nie tak miał wyglądać ten interes! Nie chciałem udzielać się w taki sposób. To nie o to chodziło. Spojrzałem Czarnemu w oczy. Było w nich coś tak porażającego, że nie śmiałem odmówić.

Poczułem ciężar supła nasiąkniętego wodą. Przez chwilę stałem w bezruchu. Serce w piersiach rzuciło się do oszalałego galopu. Fala ciepła popłynęła od moich stóp i rozbiła się pod czaszką. Pachwiny stały się wilgotne od potu.

Czarny zbliżył swoje usta do mojego ucha i szepnął:

– Bij skurwiela, jest twój!

Trzymając w dłoni powróż, na nowo zapalałem gwałtowną żądzą zemsty. Nieśmiało zacząłem kręcić w powietrzu młynka. Coraz szybciej i coraz mocniej, a z każdym machnięciem czułem, jak się zatracam.

– Kręć! – wrzasnęła Czarny. – Kręć!

Mokry węzeł szybował, wydając charakterystyczny świst. Im szybciej krążył w powietrzu, tym bardziej przepełniała

mnie bezwzględność. Posłałem Hrabiemu cios prosto w twarz i w tym samym momencie, nasadę mojego brzucha rozerwała eksplozja zwierzęcego podniecenia.

– Hej, spokojnie! – Walet złapał mnie za nadgarstek. – Nie lejemy po głębie, bo jeszcze bardziej naznaczymy go siniakami i może się zrobić niepotrzebna awantura.

– Jasne – odparłem, zupełnie nie rozpoznając własnego głosu. Jednocześnie skinąłem głową, dając mu do zrozumienia, że pojmuję, o co chodzi.

Czarny stał z boku, opierając się o drewniany regał i z diabelskim grymasem na ustach przyglądał się moim poczynaniom, jakby chciał powiedzieć: „wiele nas teraz łączy, przyjacielu”.

Nie wiem, ile ciosów wymierzyłem Hrabiemu, ale za to wiem, że tego dnia przekroczyłem niewidzialną granicę pomiędzy człowieczeństwem a bestialstwem. Poczułem chory smak władzy i dominacji. Zanurzyłem się w dziki, brutalny i bezlitosny świat, który tylko czekał, żeby porwać mnie w swoje ramiona, utulić i cieszyć się z mojego przybycia. Mój współudział i akceptacja tego, co się tu działo, i tego, co dopiero miało się stać z Hrabią, połączyły mnie nierozzerwalnym paktem z ciemnym, brudnym i zepsutym obliczem więziennego świata. Na własne życzenie wstąpiłem w jego szeregi. W poniedziałek, 9 listopada 1925 roku zostałem siewcą bólu i strachu.

Tego samego dnia po zachodniej stronie Odry powołano do życia Schutzstaffel. Nazistowską formację znaną całej ludzkości jako SS. Miała to być jednostka elitarna, której korpus mogli tworzyć jedynie prawdziwi Aryjczycy. Koła historii potoczyły się jednak wyboistymi traktami i – jak pewnie wiecie – wiele lat później przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze członków SS surowo osądzono, a organizację uznano za przestępczą.

Myślę, że prawdziwe zło rodzi się w różnych zakątkach świata w tym samym czasie.

Dzisiaj już za późno, żeby rozgrzebywać wszelkie dylematy i szukać dla siebie usprawiedliwienia. Mógłbym moją historię z Duszańskim opowiedzieć na tysiące sposobów i ukazać siebie w świetle ofiary, przekonując, że Hrabia zasłużył na karę, a ja miałem prawo ją wymierzyć. Jednak w głębi duszy wiem, że dopuściłem się niegodziwości, pozwalając, żeby opętała mnie moja mroczna strona. Dlatego krzyż, który dźwigam przez całe życie, stał się jeszcze cięższy.

Czy żałowałem, że wdałem się w ten parszywy układ? Oczywiście, że tak. Każdego wieczoru powracały do mnie natrętne myśli, ale skutecznie je wypierałem, wmawiając sobie, że nie ma winy bez kary, że taka jest sprawiedliwość.

W sumie mógłbym pominąć tę okrutną część mojej opowieści. Ta spowiedź i tak już niczego nie zmieni. Świadome milczenie zrodziłoby jednak gdzieś we mnie kolejny, bolesny świat i konałabym w nim po kres swoich dni stawiając czoła własnemu sumieniu i wspomnieniom.

To wszystko, o czym za chwilę wam opowiem, niestety wydarzyło się, a ja byłem głównym architektem tych podłych zdarzeń. Upłynęło wiele lat, zanim pojąłem, że człowiek zawsze musi brać odpowiedzialność za własne czyny. Mam tylko nadzieję, że kiedy nadejdzie mój czas i stanę przed obliczem Boga, On w całym swym miłosierdziu okaże mi łaskę i wybaczy grzech, którego się dopuściłem.

Życie Hrabiego zmieniło się w jednej chwili jak za dotknięciem jakiejś paskudnej różdżki. Stracił ciepłą posadkę na magazynie i trafił pod skrzydła Czarnego na pralni. Niedawni kumple, z Prezesem włącznie, odwrócili się od niego i nie miał najmniejszych szans na pozyskanie nowych. Takie były twarde zasady. Wszelka znajomość z nim, zawieranie układów, czy choćby pokazywanie się w jego obecności, nikomu nie służyło i mogłoby zostać źle odebrane przez pozostałych. Został napiętnowany. Skończyły się też dla niego wspólne posiłki z ziomalami przy jednym stole. Od tego pamiętnego

dnia w pralni, Hrabia zaczął grzać miejsce na stołówce razem z innymi upodlonymi, których nazywano „schwule”. To pogardliwe w tamtych czasach w więzieniu słowo oznaczało niemieckiego człowieka o skłonnościach homoseksualnych, a w luźnej interpretacji również człowieka zmuszanego do oddawania się takim czynnościom. W naszej więziennej gwarze ten wyraz miał swój polski odpowiednik i takich ludzi określano obraźliwym słowem „cwel”.

Od tego dnia, kiedy Hrabia został samotnym cwelem, ja zacząłem samotnie szybować w kierunku mojej przyszłości, która jawiła się w mrocznej poświacie.

Listopadowy ziąb królował na spacerunku. Siedziałem tam gdzie zwykle. Naciągnąłem czapkę na uszy i wypatrywałem Suchego. Musiałem z nim pogadać. Na własne życzenie wdepnąłem w kupę wielkiego gówna i teraz musiałem zrobić wszystko, żeby się jak najmniej ubabrać. Potrzebowałem Suchego, by realizować dalszą część tego cholernego przedsięwzięcia. On był człowiekiem interesu, a ja miałem dla niego intratną propozycję.

Zapałem aromatycznego parisjana. Przy każdym wydechu kłęby dymu i pary tańczyły w listopadowym powietrzu. W pewnym momencie dostrzegłem sylwetkę Hrabiego. Szedł samotnie wolnym krokiem, dłonie trzymał w kieszeniach, a podkurczone ramiona sprawiały wrażenie, jakby wchłoneły jego szyję. Z naprzeciwka mijało go dwóch więźniów i jeden z nich trącił Hrabiego barkiem. Nie wiem, czy zrobił to specjalnie, czy był to tylko przypadek. Wywiązała się między nimi pyskówka i nagle tamci dwaj osaczyli Hrabiego. Nie prowokował ich, nadal trzymał dłonie w kieszeniach, a ramiona podkurczył jeszcze bardziej i wyglądał z daleka jak zbity, bezbronny kundel. Parszywe wieści szybko się rozchodzą, przemknęło mi przez myśl.

Każdy pokutnik osadzony w Centralnym Więzieniu we Wronkach zdawał sobie sprawę, że spacerunek nie był dobrym

miejszem do wszczynania bójek lub konfliktów. Ci dwaj, którzy zaczepili Hrabiego, też o tym wiedzieli. Incydent skończył się tylko na niewinnym trąceniu po ramionach i mężczyźni się rozeszli.

Tradycyjnie kwadrans przed południem skazańcy, którzy byli chętni do uczestniczenia we mszy, na rozkaz jednego z dozorców nieporadnie formowali się w czwórkową kolumnę. Kiedy wyprowadzono ich poza ogrodzenie, na spacerniku pałatali się jedynie osadzeni z oddziału dziesiątego i jakieś niedobitki z innych bloków. Mimowolnie zerknąłem w stronę okien gabinetu aspiranta Szumskiego. W szybach odbijała się tylko szarość listopadowego nieba. Byłem przewrażliwiony na punkcie tego człowieka i wolałem nie pojawiać się polu jego widzenia. Wróciłem wzrokiem na spacerniak. Dostrzegłem Suchego. Podniosłem się z miejsca i ruszyłem w jego kierunku.

– Siemasz! – rzuciłem na powitanie i klepnąłem go w ramię. – Mam sprawę, pogadamy? – zapytałem.

– Pogadać możemy – skwitował i posłał mi znajomy grymas. – Co cię boli?

– Przejdźmy się – zaproponowałem i lekko pociągnąłem go za rękaw więziennej bluzy. Wyjąłem papierośnicę, którą dostałem w prezencie od Ojczulka, i poczęstowałem go fajką.

– Ooo, a cóż to? Jakaś specjalna okazja? – zadrwił. – A może sobie czymś zasłużyłem na tę hojność? Hm, chociaż sam nie wiem, co musiałbym zrobić, żeby dostąpić tego zaszczytu. – Suchy zaczynał się rozkręcać.

– Nie pajacuj. – Ton mojego głosu wskazywał na to, że nie chcę toczyć jakiejś głupkowatej rozmowy. – Mam coś do sprzedania i... byłaby to długoterminowa transakcja.

– Dalej, mów dalej – musiał dodać coś od siebie.

– Mogę ci dostarczać fajki, a ty będziesz nimi handlował. Co ty na to?

Suchy spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

– I niby jak się dzielimy? – rzucił pytanie, chcąc wybadać grunt.

– Nijak się dzielimy. Interesuje mnie tylko forsa. Za paczkę zapłacisz mi tyle samo, ile kosztuje po drugiej stronie murów. Z jakim zyskiem sprzedaż, to już twoja sprawa i twój zarobek.

Suchy zatrzymał się w pół kroku.

– W czym jest haczyk? – Zawsze był piekielnie podejrzliwy.

– Nie ma żadnego haczyka. Interesuje cię taki układ?

Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– Słyszałem, że miałeś układ z Hrabią, a teraz powiadają, że facet wyszedł na tym z kołkiem w dupie.

– Na twoim miejscu nie wierzyłbym zbyt w plotki. – Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że zostanę powiązany z tą historią. Poczułem się nieco zbity z tropu, nie tak miało to wszystko wyglądać. Niech to szlag!

– Jak to się mówi, w każdej plotce jest jakaś cząstka gównianej prawdy. Ja tam nie wnikam. – Uniósł ręce tak, jakby chciał się poddać. – Nie moja sprawa, ale... – Umyślnie zawiesił głos, czekając na moją reakcję.

– Ale co? – prawie burknąłem.

– Ano to, że jestem ostrożny. Wiesz, kumple i pieniądze to czasami niezbyt udana kombinacja.

– Suchy, Suchy, błagam cię – zajączałem zrezygnowany. – Już zapomniałeś, jak dzięki mnie przytuliłeś szybki grosz?

– Wtedy to było co innego, a teraz widzę, co się dzieje z gościem, który miał z tobą jakieś konszachty.

Rozmowa zaczynała mnie irytować.

– Słuchaj – wpadłem mu w zdanie – nie było tematu. – Postanowiłem uciąć naszą dyskusję i wycofać się z mojej propozycji. – Zapomnij.

– Spokojnie, Ropuszku. – Uśmiechnął się i mrugnął znacząco okiem. – Wujcio Suchy jest zainteresowany takim układem i wie, jak bardzo nie lubisz być nazywany Ropuszkiem – dodał szybko i po przyjacielsku trzepnął mnie

w ramię. – Wybacz, ale to takie miłe, stare przyzwyczajenie. Dla mnie zawsze będziesz Ropuszkiem.

– Przestań! – warknąłem, jednak w moim głosie dało się słyszeć rozbawienie. Wiedziałem, że wszelkie próby przekonania Suchego o zmianę Ropuszka na Ropucha mogą jedynie nakręcić jego pomysłowość. – Krótko i na temat. Chcesz zarobić i wchodzisz w ten układ czy odbijasz? Wiesz, że moja oferta jest nie do przebicia. Nigdy w tym miejscu nie kupisz towaru za tę samą cenę co po drugiej stronie. Nie ma takiej możliwości. I dobrze wiesz, że jeśli będziesz brał ode mnie, zarobisz dwa razy więcej. Więc jak? – Oczekiwałem od niego konkretnej odpowiedzi.

Suchy błyskawicznie kalkulował bilans zysku.

– Sztama! – syknął przez pożółkłe zęby, uśmiechnął się szyderczo i wystawił dłoń na zawarcie naszego układu.

– Mam jeden warunek – powiedziałem, nadal trzymając rękę Suchego. Spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem. – Płacisz mi tylko banknotami, żadnych monet.

Pokiwał twierdząco głową, dając mi tym samym do zrozumienia, że akceptuje.

Zanim machina przemocy i bezwzględnego biznesu rozkręciła się na dobre, obudził się we mnie duch przedsiębiorczości i ustaliłem z Czarnym dwie podstawowe sprawy. Po pierwsze, Hrabia miał odpracować na moje konto razem z należnymi odsetkami, jak to określał mój niby-wspólnik, równe dwieście pięćdziesiąt paczek papierosów. Po drugie, fajki miały bezpośrednio trafiać do Suchego. Nie obawiałem się też żadnego kantu ze strony mojego kumpla, bo to byłoby nielogiczne. Suchy wiedział, z kim wchodzi w konszachty, i prawdopodobnie nawet przez myśl mu nie przemknęło, żeby zachachmęcić coś w naszych rozliczeniach. Czarny był tutaj ostatnim gościem, z którym ktokolwiek chciałby mieć jakiś parszywy konflikt.

Pod koniec 1925 roku po drugiej stronie murów paczka papierosów kosztowała średnio jeden złoty i trzydzieści groszy.

Suchy zarabiał krocie. Miałem jeszcze pokaźny zapas fajek, które dostałem od naczelnika, ale od czasu do czasu posiłkowałem się u Suchego skrzynką na własny użytek. Chętnie kosztowałem nowych smaków. Do gustu szczególnie przypadły mi dwie marki egipskie i ergo. Egipskie były zdecydowanie lepsze i imponowały też opakowaniem. Spojrzenie przykuwała charakterystyczna postać starożytnego Egipcjanina na piaskowym tle.

Myślę, że należę do ludzi, których apetyt w pierwszej kolejności syci się wzrokiem.

Bóg mi świadkiem, ale nie przypuszczałem, że z dnia na dzień zyskam reputację kolesia, z którym nie warto zadzierać. To było idiotyczne, kiedy wszyscy dookoła tak właśnie zaczęli mnie postrzegać. Jedynie Ojczulek, który znał cierpką prawdę, zachował zdrowy rozsądek.

– Sam sobie jesteś winien – powiedział mi pewnego dnia. – Naprawdę sądziłeś, że nie poniesiesz żadnych konsekwencji, że chęć rewanżu nie odbije się także na tobie? Masz pojęcie, w jakie wpadniesz tarapaty, jeśli sprawy przybiorą niewłaściwy obrót? A jeśli któryś z więźniów szepnie słówko tam, gdzie nie powinien, albo jeśli ten lalusz o błyszczącym uśmiechu w końcu pęknie i w akcie desperacji wypowiada się komu trzeba? Myślisz, że wtedy Czarny też będzie robił za twoją tarczę? Nie bądź śmieszny. – W jego głosie brzmiało politowanie. – Zapracowałeś sobie na tę opinię. I jeszcze na dokładkę zacząłeś się zadawać z bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

– Już jest za późno, rozumiesz? – warknąłem. – Wiem, że się wkowałem po uszy, ale teraz nic już nie mogę zrobić, żeby odkręcić całą sprawę. – Naprawdę od pewnego czasu szczerze wszystkiego żałowałem. – Myślisz, że chcę się bratać z Czarnym i jego ekipą? Popełniłem cholerny błąd i nie wiem, jak się z tego wywinąć. Proszę bardzo, gadaj swoje i dobij mnie.

– Kiedy cię ostrzegałem, to nie słuchałeś. Nie wiem, co teraz powinienesz zrobić. Musisz się jakoś z tym wszystkim uporać, ot co. Prawdziwe pokusy i zobowiązania dopiero nadejdą. Ten świat będzie cię wciągał, nęcił, mamił, a jeśli dasz się opętać, to może nawet kiedyś zostaniesz jego niekwestionowanym królem. – Słowa, które wypowiadał, wydawały mi się jakąś chorą fantazją. – Ale pamiętaj o jednym, zawsze może zjawić się ktoś, kto będzie chciał obalić monarchę. – Zamilkł. Po chwili jednak dodał: – Myślisz czasami o tym, co z nim wyprawiają? – Miał na myśli Hrabiego.

Nic nie odpowiedziałem. Wlepiłem wzrok w czubki własnych butów, a w środku targały mną skrajne emocje.

Ojczulek coś mówił, ale jego słowa nie docierały do moich uszu.

Cóż miałem o tym wszystkim myśleć?

– Fajnie jest kiwać paluszkami i tylko się mądrzyć, prawda? – fuknąłem nagle w stronę rozmówcy, a kolejne słowa, które przybrały formę ataku, wyrzucałem z siebie z niebywałą szybkością. – To takie łatwe i proste! Ale to ja zostałem oszukany! I co teraz?! Mam przełknąć tę zniewagę?! Pozwolić, żeby wszystko rozeszło się po kościach?! Machnąć ręką i odejść?! Tak sobie to wyobrażasz?! Ile razy mam cię o to pytać?!

Staruszek pokiwał z politowaniem głową.

– Czy ja jestem ci wrogiem? – zapytał spokojnym głosem. – Słyszysz samego siebie? Słyszysz tę walkę, która jest w tobie? Żałujesz i prawie bijesz się w piersi, żeby pięć minut później płuć wściekłością? – Zrobił krótką pauzę. – Życzę ci tylko, żebyś nie uwikłał się jeszcze bardziej w sprawy, które cię przerosną. Czarny i jego ludzie nie mają żadnych zasad moralnych, kierują się swoim kodeksem. W ich świecie nie ma miejsca na litość i współczucie, a dzisiejszy kompan, jutro może zostać wrogiem. Niczego ci nie jestem w stanie doradzić.

Gadaj zdrow! – przemknęło mi przez myśl i z trudem powstrzymałem się, żeby nie wypowiedzieć tych słów na głos.

Nigdy nikomu nie opowiedziałem o tym, czego się dopuściłem. Nawet Ojczulek nie wiedział, że stłukliśmy Duszańskiego w pralni. Miałem swoją tajemnicę, a sekrety często powodują, że człowiek czuje się samotny i opuszczony.

Wiem, jak to jest.

Wiem, co znaczy czuć wokół siebie samotność.

W więzieniu jest ona czymś zupełnie normalnym. Niektórzy taki stan osiągają na własne życzenie, inni – pod wpływem presji i zaszczucia otoczenia. Są też tacy, którzy nie potrafią się nijak dostosować do nowego życia, albo tacy jak ja, których los nagle wciągnął w spiralę niefortunnnych okoliczności. Natomiast jeszcze inni, tacy jak Wilhelm Wolf, są skazani na tę alienację ze względu na mroczną przeszłość, która im towarzyszy jak ponury cień.

Powiem wam, że trudno jest przetrwać samemu w takim miejscu.

Co do Hrabiego pokrótce wyglądało to tak, iż w zamkniętym pomieszczeniu pralni człowiek o uśmiechu filmowego amanta, prawie każdego dnia doświadczał aktów gwałtu. To samo spotykało go również w małym, gospodarczym pomieszczeniu łaźni podczas cosobotnich kąpieli. I chociaż Czarny uważał go za swoją własność i traktował jak towar na sprzedaż, to nie pozwalał na żadne bicie, okaleczanie czy też znęcanie się. Chętnych na zaspokojenie swojej zwierzęcej chuci było wielu. Nie wiem i nigdy nie dociekałem, jaka obowiązywała stawka za usługę. Krążyły różne wersje, a ludzie jak to ludzie pletli zadziwiające bzdury. Codziennie odzyskiwałem jakąś część długu, a w skrytce, tuż obok broni otulonej naoliwioną szmatą, przybywało zwiniętych w rulon banknotów. Ta forsa była zadośćuczynieniem za moje krzywdy, była świadectwem mojej zemsty. To były pieniądze odkupione grzechem, bólem i cierpieniem... zarówno moim, jak i Hrabiego.

W ostatnią niedzielę listopada wiatr chłostał zimnymi podmuchami i nie było takiego miejsca na spacerniaku, gdzie człowiek mógłby się schronić przed jego potęgą. Podczas marszu grudy zmarzniętej ziemi chrobotwały pod podeszwami butów, a dłonie, choć ukryte w kieszeniach, kostniały od przenikliwego chłodu.

Razem z Ojczulkiem spacerowaliśmy wolnym krokiem, zataczając po placu kolejne rundy.

– Rok temu mieliśmy się całkiem dobrze, prawda? – Księżulo bardziej twierdził, niż pytał, a w jego słowach zabrzmiało nostalgiczne rozmarzenie.

– Prawda, Ojczulku, święta prawda – skwitowałem.

– Byłeś wtedy innym człowiekiem, Stefan. – Miałem wrażenie, być może mylnie, że w tonie jego głosu czaił się smutek i rozczarowanie.

– Wiele się zmieniło od tamtej pory – rzuciłem w nadziei, że przerwiemy ten temat.

– O tak, masz rację, wiele się zmieniło. – Pokiwał głową i dodał: – Bardzo wiele.

Wiatr przybrał na sile.

Podniosłem kołnierz kufajki, żeby chronić przed zimnymi podmuchami odkryty kark. Przez kilka minut szliśmy w milczeniu.

– Nie udało mi się ochronić cię przed własną zawziętością – odezwał się nagle staruszek. – Jak to powiadają, nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe. Życie nauczyło mnie, że to, jakimi jesteśmy ludźmi i co dajemy światu, wraca do nas ze zdwojoną siłą.

– Czego ty chcesz ode mnie, Ojczulku? – fuknąłem. – Dobrze wiesz, jak się sprawy miały. Sądzisz, że samym gadaniem można naprawić krzywdy? Masz pojęcie, jak ja się czułem? Rozumiesz, co on mi zrobił? Dał mi nadzieję, kapujesz? Dał mi coś, czego nie powinienem tutaj doświadczyć. Potem przez długie miesiące mnie zwodził, że moja matka żyje, że potrzebuje pomocy, że ja jestem tym, który może ją wesprzeć.

Ona wyzionęła ducha, a ten człowiek mówił mi, że ona ciężko choruje, że jest w potrzebie. Dlaczego jego nie potępiasz, tylko mnie?! – Mój głos wzbierał na sile. – Dlaczego nawet nie postarasz się tego zrozumieć?!

– Wszystko doskonale rozumiem – delikatnie wszedł mi w zdanie. – A czy ty pojmujesz, czym mu się odpłacasz?

Zawrzało mi w duszy, bo odniosłem wrażenie, że księżulek akceptuje postępowanie Hrabiego, a mnie zaczyna potępiać.

– Nie chce mi się, kurwa mać, o tym gadać! – cisnąłem z nieukrywaną złością.

Ojczulek przeszył mnie srogim wzrokiem.

– W ogóle możemy przestać rozmawiać – rzucił po chwili i spojrzał w przeciwnym kierunku.

– Jeżeli mamy ciągle wałkować tę samą historyjkę, to oczywiście, że możemy przestać! – warknąłem.

Wtedy dotarło do mnie, że nasze relacje stają się z każdym dniem gorsze. Więź, która nas kiedyś łączyła, z jasności wkraczała w cień. Wiedziałem, że staruszek jest zawiedziony moją postawą. Byłem tego świadom i jednocześnie miałem do niego spory żal, że nie trzyma mojej strony.

Z naprzeciwka szedł Suchy.

– Co jest, dziewczęta? – rzucił w naszym kierunku. – Zimno wam? Mróz szczypie w dupską? – Na dźwięk jego słów poczułem ulgę. Nadworny błazen niespodziewanie przybył z odsieczą i rozładował napiętą sytuację. Suchy zerknął na mnie wzrokiem pełnym zadowolenia. – Ooo, widzę że będziemy świętować! Stawiasz coś na ten urodzinowy numer? – Nie bardzo pojmowałem, o co mu chodzi. Zmarszczyłem czoło i przyglądałem się mu z zaskoczeniem. – No co tak wytrzeszczasz te maślane gałeczki? Mamy dwudziesty dziewiąty listopada. – Skierował źrenice na cyfry mojej więziennej bluzy. – Dwadzieścia dziewięć, jedenaście – wycodził przez zęby i posłał mi zwycięski uśmiech, jakby dokonał epokowego odkrycia.

– No tak – odparłem. – Rzeczywiście. – Wtedy jeszcze nie przykładam wagi do magii liczb. Teraz, kiedy jestem świadom zaklęć, które czają się w cyfrach i ich wpływu na nasze życie, czuję się tak, jakbym przetarł zaspane oczy i ujrział wszystkie zdarzenia z przeszłości w jasnym i właściwym świetle.

– Więc jak będzie? – Klasnął w dłonie, puścił mi oko i stwierdził: – Czyli przejmujesz dziś obowiązki częstującego.

Bez sprzeciwu sięgnąłem po mosiężną papierośnicę i poczęstowałem mojego kompana parisanem.

– Zostawię was samych, bo pewnie macie coś ważnego do obgadania – wtrącił zniecierpliwiony Ojczulek.

– Ważnego? O co ci chodzi? – Mój partner w interesach był mistrzem kamuflażu.

Staruszek machnął ręką i ruszył przed siebie.

– Co jest grane? – zapytał mnie Suchy podejrzliwym głosem. – Wyspowiadałeś mu się ze wszystkiego? – dodał z lekkim wyrzutem.

– Oszalałeś?! Myślisz, że łączę po spacerniaku i kłapię dziobem dookoła? – odparłem.

– Mam nadzieję, że tego nie robisz, bo wielu ludzi wpędziłbyś w straszliwą kabałę.

– Chcę tylko odzyskać, co jest moje, i sprawę uważam za zamkniętą – określiłem swoje stanowisko. – A skoro księżulo strzela fochy i coś mu nie pasuje, to już jego problem – mówiłem bezmyślnie.

– I tak trzymaj, człowieku. – Zaciągnął się głęboko dysmem, klepnął mnie w ramię i dyskretnie zerknął na boki. – I trzymaj jeszcze to – powiedział i w tym samym momencie obiema dłońmi chwycił moją rękę, jakby mi za coś serdecznie dziękował. Pod opuszkami palców poczułem zwinięte w rulon banknoty. – To działka z dzisiejszego utargu. – Posłał mi uśmiech. Dłoń ze zwitkiem pieniędzy wsunąłem do kieszeni. – No to bywaj. Spadam, bo trzeba działać dalej. Wiesz, jak

jest, w interesach nie ma czasu na słodkie pierdzenie. – Obrócił się na pięcie i odszedł w przeciwnym kierunku.

Zostałem sam.

Przez dłuższą chwilę trwałem nieruchomo w miejscu i wszystkimi zmysłami czułem przytłaczającą szarość i pustkę. Bezbarwny, przygnębiony świat, który jawił się przed moimi oczami, otulał również duszę, serce i udręczony umysł. Plac pełen grzeszników i wszechobecna mroźna nijakość.

Zegar na wieży kościelnej wybił godzinę czternastą.

Tuż obok wyjścia ze spacerniaka dostrzegłem sylwetkę Hrabiego. Kręcił się nerwowo obok bramki, gdzie sterczało dwóch klawiszy. W pierwszej chwili pomyślałem, że tam czuje się bezpieczny, ale przypomniałem sobie, że w każdą ostatnią niedzielę miesiąca jego kobieta przyjeżdża w odwiedziny. Czekał, aż go wezwą. W smutek, który mnie wypełniał, wdarło się z rykiem moje drugie ja i w głowie zabrzmiał szyderczy głos: Czy ona wie, że jesteś teraz więzienną dziwką?!

Z zakamarków mojego umysłu sączyła się rozżarzona wściekłość i rozlewała po całym ciele niczym gorzki jad.

Wtedy tego nie wiedziałem, ale za taki stan rzeczy mogłem winić tylko siebie. Swoje słabości i niedoskonałości, którymi jest skrzepowana ludzka natura.

Dzisiaj mogę stwierdzić, że poczułem się tak, jak bohater opowieści Roberta Louisa Stevensona.

Był we mnie doktor Jekyll i pan Hyde.

– Hej, Ropuch! – Usłyszałem czyjś głos z prawej strony i odwróciłem głowę. – Czarny chce z tobą gadać. – To był koleś z jego świty.

Ekipa Czarnego jak zwykle okupowała dwie ławki obok płotu po wschodniej stronie spacerniaka.

Wolnym krokiem ruszyłem w tamtym kierunku.

– Siadaj. – Czarny zaprosił mnie ruchem głowy, wskazując miejsce obok siebie. – Jak leci, przyjacielu? – zapytał. – Suchy rzetelnie rozlicza się z towaru?

– Wszystko w porządku. Jest tak, jak być powinno. – Skoro pytał, to chyba uważnie obserwował, co się dzieje pod jego nosem. To już któryś raz z kolei nazwał mnie swoim przyjacielem. Tylko co to za przyjaźń, którą łączy jednie wspólny interes? Nawet nie wiedziałem, jak brzmi jego prawdziwe imię.

– To dobrze – powiedział tym swoim pełnym dostojęstwa głosem. – Mam prośbę do ciebie – cedził każde słowo – chciałbym, żebyś załatwił mi dłuto.

– Dłuto? – powtórzyłem niczym echo, jakbym chciał się upewnić, czy dobrze zrozumiałem.

– Tak, dłuto. Zwykłe stolarskie dłuto. Możesz dostarczyć?

– Myślę, że da się zrobić – oparłem, ale w głębi duszy wiedziałem, że od strony organizacyjnej będzie to spory problem. Wszelkie narzędzia były skrupulatnie ewidencjonowane, a czasami bywało, że kiedy kończyliśmy dzień pracy, strażnik odpowiedzialny za pracowników stolarni rewidował każdego przy wyjściu.

– Cieszy mnie to. Przyjaciele powinni sobie pomagać. – W całej mojej naiwności jego słowa wydawały się miłe.

– Do czego ci to potrzebne? – zapytałem po chwili.

Czarny spojrział mi prosto w oczy. Myślałem, że coś wyczytam z jego twarzy o policzkach pokrytych szczecina gęstego zarostu. Żaden mięsień, żadne ścięgno nawet nie drgnęły na surowym obliczu.

– Dłuto jest dobre na złodzieja – odparł, a ja natychmiast poczułem dziwny ucisk w dołku. Już wiedziałem, że będą z tego kłopoty. – Bruździ w naszym wspólnym interesie, ale nic się nie martw – miałem wrażenie, że rozszyfrował moje obawy – zajmę się tym. Wszystko będzie dobrze. – Potarł zmarznięte dłonie, jakby chciał tym gestem pobudzić krew do szybszego krążenia.

Nie byłem pewien, czego ode mnie oczekuje. Nie wiedziałem, czy mam oddać mu przysługę czy podać konkretną cenę?

Pytanie już rodziło się moim gardle, kiedy Czarny nagle się odezwał:

– Widzę, że jesteś w porządku. Myślałem, że postawisz jakiś warunek, żądanie. Mile mnie zaskoczyłeś, przyjacielu. – W tonie jego głosu słyszałem szczerłość. – Widzę, że doceniasz i szanujesz naszą znajomość. Dopóki tu będę, zawsze możesz liczyć na moją pomoc. Kiedy stąd wyjdę za parę lat i znajdę się na wolności, ty nadal będziesz miał moje wsparcie. Daję ci słowo, że nikt ci tu nie podskoczy. – W to wyznanie akurat mu nie uwierzyłem. Nasłuchiwałem się już sporo opowieści o tym, jak wygląda „przyjaźń” pomiędzy skazańcami kumplami, kiedy jeden z nich opuszcza więzienie, a drugi dalej odbywa karę. To była utopia. – Zdajesz sobie sprawę, że mam wpływy, prawda? Taki już jest ten mój świat, takie życie sobie wybrałem – westchnął. – Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że skończysz w takim miejscu jak to? – zmienił nienacka temat i omiótł dookoła wzrokiem. – Tacy jak my muszą trzymać się razem, wtedy mamy większe szanse na przetrwanie.

Milczałem.

Nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć.

W sumie to już nic nie wiedziałem.

Czy kiedykolwiek później myślałem o tym, o co mnie zapytał? Chyba nie. Natomiast tysiące razy zastanawiałem się, dlaczego tak się stało. Dlaczego spotkał mnie taki los? Czy naprawdę w mojej księdze życia było to zapisane? Czy już w chwili moich narodzin Wszechmogący wskazał na mnie palcem i powiedział: „Oto człowiek, który doświadczy cierpienia!”?

Kiedy siedziałem obok Czarnego, widziałem wiele spojrzeń, które rejestrowały to zdarzenie. Podejrzywałem, że nie uszło to również uwadze klawiszy. Strażnicy lubili wiedzieć, co dzieje się na ich podwórku, a już szczególnie wtedy, kiedy ktoś kumał się z towarzystwem, które budziło ogólny respekt. Oczywiście wtedy wcale tego nie uważałem za błąd z mojej

strony. Mało tego, czułem się tak, jakbym był na afiszu wiszącym w centrum miasta. Z dumą unosiłem głowę i prężyłem młodą pierś.

W pewnym momencie od strony bramki rozległ się donośny głos dozorca Mroczkowskiego:

– Żabikowski do wyjścia!

Po chwili ryknął znowu:

– Żabikowski!

– Odwiedziny? – zapytał Czarny nieco zaskoczonym głosem.

– Nie sędzę – odparłem niepewnie i podniosłem się z ławki. – To tymczasem – rzuciłem przez ramię. Udałem się w kierunku, skąd mnie wzywano.

Klawisz z czarną opaską na oku dostrzegł w tłumie moją osobę. Łypnąłem wzrokiem w stronę Hrabiego. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że spoglądał na mnie nienawistnym wzrokiem. Patrz, parszywa gnido, syknąłem w myślach. Patrz i bój się!

Zbliżałem się do wyjścia. Kilka metrów dalej, po drugiej stronie ogrodzenia dostrzegłem aspiranta Szumskiego. Stał w rozkroku i poprawiał na dłoniach brązowe skórzane rękawiczki. Spoglądał na mnie spod daszka czapki nasuniętej niemal na brwi, a z kącika ust zwisał mu tłący się papieros.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje się na wezwanie – wyrzuciłem z siebie lekko zdyszany głosem regulaminową formułkę.

Strażnik otworzył furtkę z drucianej siatki.

– Zasuвай do aspiranta Szumskiego. – Usłyszałem krótkie polecenie.

Ruszyłem w kierunku człowieka, do którego pałałem prawdziwą nienawiścią.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje swoje przybycie. – Stanąłem przed Szumskim na baczność niczym żołdak przed generałem.

– Miło cię widzieć, Żabikowski – powiedział, nie wyjmując papierosa z ust. – Przejdziemy się. – Podeszedł do mnie, objął po przyjacielsku ramieniem niczym najlepszy ziomal i delikatnie pociągnął w lewą stronę. – Musimy pogadać. – Zacisnął palce na moim barku. – Fajnie jest, Żabikowski, prawda? – Już zaczynało mnie rozrywać od tej kretyńskiej gadki. – Idziemy sobie we dwójkę, wszyscy patrzą, jak aspirant Szumski obejmuje cię jak swego. Czarny i jego kolesie, z którymi zaczynasz zacieśniać kontakty, są pewnie zaskoczeni. – Zamilkł na moment. – Tak, Żabikowski, mam nadzieję, że w ich pustych łbach pojawią się wątpliwości i podejrzenia. Wiesz, dlaczego to robię, prawda? – Zatrzymał się, zdjął dłoń z mojego ramienia i patrzył mi prosto w oczy. – Wiesz?

– Tak jest, panie aspirancie. – Chociaż był zimny listopadowy dzień, czułem, jak zaczynam się gotować, a gorące krople potu przeciskają się przez pachwiny. – Bo pan mnie nie lubi, panie aspirancie – dokończyłem tak, jak tego oczekiwał.

– Kurwa, Żabikowski, żebyś ty wiedział, jak ja to kocham, kiedy tak mówisz! – Karcił się swoją chorobliwą perfidią. – Masz, zapal sobie. – Sięgnął do kieszeni długiego płaszcza, który miał na sobie, i wyjął paczkę papierosów. – No bierz i pal! – syknął wściekle.

Byłem kompletnie zdezorientowany i zrobiłem to, czego żądał.

Szumski natychmiast wyjął peta z ust i podsunął mi końcówkę żaru, żebym mógł odpalić fajkę. Drugą dłonią poklepał mnie po policzku jak dobry pan wiernego psiaka.

– Fajnie jest, Żabikowski, no nie? – Najwyraźniej bawiła go cała ta sytuacja. – Ufam, że udało mi się wyrobić u twoich kolesi odpowiednią opinię. Gwarantuję, że zaczną mieć podejrzenia, ba – podkreślił z namaszczeniem – będą mieć całą furę podejrzeń. Ale ty rozumiesz, jak przykre jest życie pracownika służby więziennej szczególnie w niedzielę, kiedy zamiast siedzieć sobie w domciu, musi pilnować tej całej hołoty. Zgodzisz się ze mną, że to niewdzięczne zajęcie,